

Biuletynu  
Prac  
Gdyni  
Gdańsku

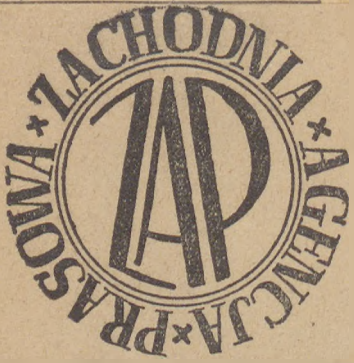
P 0630 II

Pr. 10.7-8

TA



CU 12656



# ZACHODNIA AGENCJA PRASOWA

## DZIENNIKARSKA SPÓŁDZIELNIA PRACY

Poznań, ul. Chełmońskiego 1

Oddział w Warszawie, Al. Niepodległości 210

Nr 3/Pp.

25. II. 1947

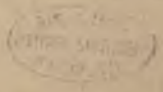
### BIULETYN PUBLICYSTYCZNY

#### LIKWIDACJA PRUS.

Podczas najgorętszych zmagania na fronach wojennych, gospodarczych i... informacyjnych ostatniej wojny, wyszło z Ameryki morgenthau'owskie hasło „likwidacji Niemiec”, jako najradykałniejsze lekarstwo na uzdrowienie warunków pokojowego współżycia narodów europejskich. W międzyczasie odeszli autorzy tej inicjatywy, niebezpieczeństwo niemieckie zostało chwilowo opanowane i nie stanowi bezpośredniej groźby dla wielkich Aliantów, a w rezultacie rzucona przed tym i szeroko omawiana idea „likwidacji Niemiec” stała się przeszkodą niemożliwą do przeskoczenia dla zasad humanitaryzmu i kultury chrześcijańsko-europejskiej. Dlatego idea ta upadła, a niepokój ludzi zgnębionych ciągłymi wojnami, wywołanymi przez Niemcy, ludzi miłujących pokój, wyraził się w nowej, znacznie węższej od poprzedniej koncepcji: w programie likwidacji Prus.

Hasło likwidacji Prus, tego dostatecznie przez cały świat znanego symbolu militarystyki i wojowniczości niemieckiej, nie spotkało się z tymi zastrzeżeniami, jakie — ze zrozumiałych dla każdego człowieka motywów humanitaryzmu — wysunęto przeciw idei „likwidacji Niemiec”. Mało tego — koncepcja ta znalazła się już na porządku obrad konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki w Moskwie. Jako jeden z naczelnych punktów swojego Memorandum do obradujących w Londynie zastępców 4-ch ministrów spraw zagranicznych wysunęła tę sprawę również Polska (pkt. 5 Memorandum).

Dnia 10.05.47 a 2,5



Jest rzeczą istotną, aby każdy Polak, tkwiący w jakimkolwiek punkcie globu ziemskiego, zdał sobie jasno sprawę z wagi i rzeczywistego znaczenia tego zagadnienia dla przyszłości jego Ojczyzny. „Polacy, nikt z sąsiadów, tylko ten dom brandenburski z potrzeby na waszą zgubę czatuje. Jest to od was zależne i od was wychowane straszdyło, które ma wielką głowę. Jego ciało w pomiarze do niej wzrastać się usiłuje. Ze wszech innych stron ma przeszkody mocne, sama tylko Polska wolne mu miejsce zostawia.” Te słowa ks. Staszica, współtwórcy Konstytucji 3-go Maja, mieszczanina polskiego z Piły, która dopiero dzisiaj wróciła do Polski, ujmują sedno rzeczy: Prusy jako twór kolonialny — wyspa w obcym, bo polskim względnie słowiańskim otoczeniu — były z natury swojej skazane na walkę zaborczą z Polską. Stworzyły sobie też wschodnio-prusko-śląskie kleszcze, którymi zdusiły śmiertelnie Rzeczpospolitą w trzech rozbiorach pod koniec XVIII wieku. Takimi samymi kleszczami usiłowały zlikwidować Polskę raz na zawsze w wojnie 1939—1945 roku. I gdyby nie zwycięstwo Aliantów, to los Polski byłby tym razem ostatecznie przesądzony. Wojna 1939—1945 za dużo jednak upuściła Polsce krwi i za dużo kosztowała świat cały, aby można z lekkim sercem — w imię nieistotnych i tylko aktualnych różnic taktycznych — pozwolić na odrodzenie się jej sytuacji wyjściowej, którą można śmiało nazwać sytuacją rozbiorową Polski.

Dlatego każdy Polak, godząc się na niemieckie twierdzenie, że „integralne istnienie Prus i Polski wyklucza się wzajemnie” (Weber, Preussen u. Polen, 1907), powita z największą radością i poprze swoim najlepszym wysiłkiem dzieło likwidacji Prus. Na razie jest to jeszcze tylko hasło, a nie sprecyzowany program działania, który musi doprowadzić do pełnego unicestwienia Prus jako ośrodka przewodniczej myśli politycznej całych Niemiec w każdej możliwej formie, w jakiej występuje ta stugłowa hydra. Prusy muszą zniknąć jako określony zespół terytorialny, likwidacji musi ulec pruski zespół ludzi wojska, finansów, gospodarki, a także zespół junkrów i uczonych, który nawet przy likwidacji terytorialnej Prus byłby w stanie utrzymać życie niemieckie w stylu „pruskim”.

Hasło likwidacji Prus, które ma otrzymać konkretną formę programową dopiero na konferencji moskiewskiej, znalazło dotychczas tylko w jednym punkcie swoje urzeczywistnienie: granica Polski i Niemiec pociągnięta w Poczdamie, podcięta w sposób istotny bazę terytorialną Prus, likwidując równocześnie podstawę istnienia wschodnio-pruskich junkrów, wchodzących w skład elity rządzącej Prus. Kto pragnie likwidacji Prus- a równocześnie ma zastrzeżenia odnośnie naszych nowych granic zachodnich, ten działa nielogicznie, albo... nie pragnie likwidacji Prus. Postawmy jednak kropkę nad „i” — kto broni Prus, ten:

1. niczego się dotychczas nie nauczył,
2. godzi się świadomie z myślą o nowej wojnie wywołanej przez Pruso-Niemcy,
3. skazuje na poważne niebezpieczeństwo Polskę i miliony Polaków.

Sytuacja historyczna Polski i Prus osiągnęła w tym punkcie swój szczyt rozwojowy: kto jest za życiem narodu polskiego, musi dążyć konsekwentnie do likwidacji sztucznego tworu pruskiego, co może nastąpić bez istotnego naruszenia podstaw bytu narodu niemieckiego. Niemcy mogą żyć i rozwijać się bez Prus, przy istnieniu Prus Polska skazana jest na zagładę a Niemcy i Europa na wojnę.

Mgr Józef Kokot.

### Przywódcy Ludu Polskiego w Niemczech.

#### KSIĄDZ PATRON DOMAŃSKI.

Było to w kilka miesięcy po ukończeniu I-szej wojny światowej. Gazety angielskie i amerykańskie doniosły, że granice państwa polskiego obejmować będą całą Opolszczyznę, aż daleko poza Odrę, a dalej ku północy również stare polskie ziemie — t. zw. Pogranicze ze Złotowem. Nie podobały się te „amerykańskie decyzje” naturalnie Niemcom, którzy postanowili uniemożliwić zrealizowanie planów Aliantów i czynnie przeciwstawić się woli zwycięskich sprzymierzeńców. Przede wszystkim starano się unieszkodliwić wybitnych Polaków.

Jednym z przywódców Polactwa w Niemczech był proboszcz ze Złotowa, a później z Zakrzewa — ks. dr Bolesław Domański. Pracę swą na Ziemi Złotowskiej rozpoczął ten wielki Polak i doskonały polityk już w 1912 roku. W akcji polskiej zaangażował się całą duszą, to też w chwili wybuchu wojny w r. 1914 został przez Prusaków aresztowany pod zarzutem agitacji i postawiony przed sąd wojenny. Z opresji tej szczęśliwie wyszedł, a szkany go nie złamały. On to kierował sprawami Polaków w tym ciężkim dla Złotowszczyzny okresie, to też przeciwko niemu skierowany został niemiecki zamach.

Jednego z wieczorów, gdy proboszcz Domański sam znajdował się w małym domeczku przy kościele, uzbrojeni Niemcy obstawili probostwo celem zlikwidowania niebezpiecznego Polaka. Dowódca niemieckiej bojówki wydał już swym podwładnym ostatnie rozkazy, gdy w tym — zupełnie przypadkowo — do domu ks. Proboszcza zbliżyła się delegacja polskiej rady ludowej. Niemcy zdezorientowani przybyciem większej grupy polskiej, wycofali się, co uratowało polskiego działacza.

Gdy w wyniku ostatecznych obrad Aliantów pozostała przy Niemczech zachodnia część Ziemi Złotowskiej, na czele ludu polskiego stanął proboszcz Domański i powołał do

zycia szereg żywotnych polskich organizacji i placówek gospodarczych. Jedną z pierwszych utworzonych przez niego na tym terenie instytucji było Polsko-Katolickie Towarzystwo Szkolne. Natychmiast przystąpiło ono do Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, którego prezesem był wówczas poseł na sejm pruski, Jan Baczewski, obecny burmistrz miasta Dębna (w pow. Chojeńskim), wybrany w czasie ostatnich wyborów do polskiego sejmiku ustawodawczego, posłem z terenu Pomorza Zachodniego. Władze niemieckie stawiały polskiemu szkolnictwu ogromne trudności. Sąd pruski nie chciał instytucji zarejestrować. Przez całe lata ciągnęły się pertraktacje, aż wreszcie uzyskano zezwolenie. W r. 1926 już w czternastu miejscowościach młodzież polska pobierała naukę w języku polskim, w następnym powstało dalszych pięć szkół. W r. 1927 na terenie pow. Złotowskiego już 1000 dzieci korzystało z polskiej nauki.

Ksiądz Domański nie zrażał się trudnościami, jakie sprawiali przy każdej okazji Niemcy. Powstają polskie domy ludowe, banki, rozwija się potężnie spółdzielczość polska, powstają coraz liczniejsze organizacje, a wszystkie skupione są w Związku Polaków, którego prezesem zostaje wreszcie ten wielki działacz.

Bardzo wiele uczynił dla sprawy polskiej ten skromny proboszcz z Zakrzewa. Gdy obecnie mówi się z kimkolwiek ze starej, rdzennej polskiej ludności o księdzu proboszczu, to wspominany jest zawsze z czcią największą. On był ich przewodnikiem i to nie tylko duchowym. On dbał o wszystkie ich sprawy: radził, dopomagał i wspierał w każdej potrzebie.

Stolicą „Polactwa” w Niemczech było w ostatnim czasie Zakrzewo. Tu przy rozbudowanym przez ks. Domańskiego kościele gromadziła się rzesza polskiego ludu z Niemiec. Tu do niego przybywali wszyscy, by jak u źródła sił nabrać do dalszej walki. A on dodawał im sił. Prowadził wszystkich do kościoła, który przez niego został potężnie rozbudowany i rozszerzony i tam pokazywał im Polskę, opowiadał o jej przeszłości, wskazywał na jej wielkość i rysował wizję przyszłej potęgi. Kto opuszczał kościół w Zakrzewie, ten wierzył znów z poprzednią siłą, że niedaleką jest chwila wyzwolenia ludu polskiego, chwila wcielenia tych ziem napowrót do macierzy.

W kościele zakrzewskim znajduje się kaplica Królowej Korony Polskiej. Maria-Królowa siedzi na tronie i wzywa lud polski do siebie. Otoczona jest polskimi świętymi, którzy błagają Ją o błogosławieństwo dla tego ludu. Kaplica ta to szczególnie dzieło ks. Domańskiego. W czasach niemieckich wystawienie takiej kaplicy było prawdziwym bohaterstwem. Ks. Domański wymalował na sklepieniu i ścianach kościoła obrazy wszystkich polskich świętych. Bogata polichromia wykonana przez dobrych artystów miała również zbliżać lud do kraju, znajdującego się za kordonem granicznym.

Na cmentarzu kościelnym znajduje się skromny grobowiec. To tu pochowane są skromne szczątki doczesne tego polskiego „króla ducha“, który nie pozwolił ludowi polskiemu załamać się w wierze w zwycięstwo.

Nie doczekał się ksiądz proboszcz Domański chwili wyzwolenia i powrotu do Polski Ziemi Złotowskiej. Zmarł na krótko przed wybuchem wojny. Pogrzeb jego był dla ludności miejscowej potężną manifestacją polskości. Druga taka manifestacja odbyła się już w wolnej Ojczyźnie i to w Szczecinie, podczas wielkiego kongresu polskiej ludności rdzennej Pomorza Zachodniego, gdy na zamku Piastów Szczecińskich odsłonięta została tablica pamiątkowa ku czci Wielkiego Polaka. W tej formie lud polski Ziemi Szczecińskiej złożył hołd pracy zmarłego.

Gdy niedawno byłem w Zakrzewie, opowiadano mi następujące wydarzenie, które doskonale charakteryzowało postać ks. Domańskiego i jego metodę niecofania się przed żadnym niebezpieczeństwem. Było to w jednym z ostatnich lat pierwszej wojny światowej. Do parafii zakrzewskiej należała wówczas również i wieś Polska Wiśniewka z małym kościołem św. Michała. Władze niemieckie zarządziły zdjęcie znajdujących się na wieży kościelnej trzech dzwonów. Ponieważ nikt nie chciał podjąć się zdjęcia ich z dzwonnicy, zmuszono do tej pracy rosyjskich jeńców wojennych. Pod wieczór dzwony stały już na ziemi; mrok przeszkadzał dalszemu transportowi, wobec czego postanowiono odłożyć dalsze prace do rana. Gdy następnego dnia żandarmi niemieccy zjawili się po dzwony, nie było ich już pod kościołem. W ciągu nocy znikły. Na nic zdały się poszukiwania całej sfory niemieckich agentów. Nie pomogły ani psy policyjne, ani rewizje i represje. Dzwony przepadły bez śladu i znalazły się dopiero po wojnie na pobliskim cmentarzu.

Prezes Związku Polaków — którą to godność ks. dr Domański przez szereg lat piastował — zdolny był nie tylko do polityki słownej, lecz również do czynu. Znali go dobrze Polacy z U. S. A. On to na kongresach Polonii Zagranicznej wzywał do wytrwania i do pracy dla Matki-Polski. I cel swój osiągnął. Polonia całego świata realizuje program ks. Dra Domańskiego.

Czesław Piskorski.

Lwowianie obejmują we Wrocławiu.

#### NAJSTARSZY OŚRODEK ASTRONOMII NA ZIEMIACH POLSKICH.

Tak się dziwnie i szczęśliwie złożyło, że chociaż dokoła padały bomby i rozrywały się pociski, sam gmach Wrocławskiego Obserwatorium Astronomicznego, mający zresztą cha-

rakter willi z rozległymi tarasami, położonej na skraju prześlicznego parku, pozostał nietknięty. Uległ on wprawdzie wskutek bombardowania wstrząsowi, co w pewnej mierze odbiło się na funkcjonowaniu aparatur, poważniejszych szkód, jednak nie doznał.

W chwili obecnej Wrocławskie Obserwatorium Astronomiczne jest największym i jedynym tego rodzaju zakładem naukowym w Polsce. Gdyby obserwatorium warszawskie nie zostało spalone przez Niemców, dorównywałoby wrocławskiemu. Ponadto jest ono najstarszym w kraju, gdyż założone zostało w 1780 r. Ale obserwacje naukowe wykonywane tu były już w latach 1702—1715. Astronomia posiada więc już we Wrocławiu blisko 250-letnią tradycję.

Dużego rozgłosu i znaczenia w międzynarodowych kołach astronomicznych obserwatorium nabrało pod energicznym kierownictwem Polaka, prof. Bogusławskiego, który był dyrektorem Obserwatorium Wrocławskiego od roku 1831—1851. W r. 1835-ym odkrył on nową kometę, skonstruował nowy mikrometr i otoczył się zdolnymi współpracownikami, wśród których jako asystenci pracowali także jego dwaj synowie.

Wśród asystentów katedry astronomii spotykamy w latach 1851—1987 także Polaków: Machnikowskiego, Rostalskiego, Buszczyńskiego.

Natychmiast po pierwszej wojnie światowej w 1920 r. przeniesiono Obserwatorium na teren parku szczytnickiego, na jakim się dziś znajduje. Budowę pawilonu oraz przenoszenie instrumentów ukończono ostatecznie w 1930 r. Obok więc głównego budynku obecnego Wrocławskiego Obserwatorium Astronomicznego stoi jeszcze opodal pawilon „południkowy”, z instrumentem przejściowym i kołem wierzchołkowym, służącym do wyznaczania czasu, oraz pawilon mieszczący warsztat ślusarski. Obserwatorium posiada własną salę wykładową, w której na galeryjce obiegającej ją dokoła, umieszczone są muzealia z zakresu nauki astronomii, stare zegary, księgi, dyplomy.

Jakkolwiek Obserwatorium w porównaniu z innymi ośrodkami mało ucierpiało od działań wojennych — to jednak nie obeszło się i bez pewnych szkód.

Dotkliwą stratą jest zaginięcie obiektywu fotograficznego o średnicy 180 mm, oraz pryzmatu obiektywnego, wskutek czego ważne obserwacje fotograficzne i spektralne są na razie niemożliwe. Obserwatorium straciło również chronometry i maszyny do liczenia, co także wpływa hamująco na bieg pracy.

W roku 1934 została założona filia Obserwatorium Wrocławskiego, ale tym razem aż w południowo-zachodniej Afryce, w miejscowości Windhuk. Czyni się obecnie intensywne starania, celem odzyskania tej placówki dla Wrocławskiego Uni-

wersytetu, jakkolwiek sprawa ze względu na swój międzynarodowy charakter nie jest łatwa do przeprowadzenia.

We wrześniu 1945 r. Wrocławskie Obserwatorium Astronomiczne zostało przekazane Uniwersytetowi. Pierwszymi pracami organizacyjnymi, związanymi z przejściem Obserwatorium przez władze polskie, zajmował się dr K. Kordylewski, adiunkt Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

W październiku 1945 r. przybył do Wrocławia ze Lwowa prof. dr Eugeniusz Rybka i objął kierownictwo obserwatoriów Uniwersytetu Wrocławskiego. Z dużym entuzjazmem prof. Rybka wraz ze swymi kolegami i współpracownikami wziął się zżawo do pracy. A roboty było niemało.

Nim jednak przystąpiono do wykonywania obserwacji, trzeba było naprawić uszkodzone budynki, usunąć drobne uszkodzenia w instrumentach, poprzeciągać nitki pajęczne w mikrometrach, naprawić i uruchomić zegary wahadłowe, uporządkować całkowicie rozrzuconą bibliotekę, złożoną z 9 tysięcy tomów. Należało również zająć się filią w Białkowie.

Filia owa wskutek zniszczeń ucierpiała znacznie więcej, niż główne Obserwatorium, jednak jest nadzieja, że braki da się uzupełnić i przyprowadzić tę placówkę do należytego porządku. Z pierwszą pomocą pośpieszył Wojewódzki Urząd Ziemiański, który przydzielił Uniwersytetowi cały majątek ziemski Białków, o powierzchni 100 ha, jako zabezpieczenie materialne tej placówki naukowej. Majątek objęty został w stanie kompletnej dewastacji. Skromnymi środkami, przy pewnej pożyczce Banku Rolnego, uruchomiono już jednak gospodarke rolnohodowlaną.

Do lata 1946 r. zasadnicza praca przy naprawie uszkodzeń w budynkach obserwatorium i uzupełnianiu braków została zakończona i można było rozpocząć systematyczne prace obserwacyjne. Na razie prace takie są wykonywane dużym instrumentem przejściowym przez dr A. Opolskiego i głównym refraktorem przez prof. Rybkę. W grudniu 1946 Obserwatorium sprowadziło chronometr ze Szwajcarii, co znacznie ułatwiło prace obserwacyjne.

Obserwatorium nawiązało kontakt z przeszło dwustu zagranicznymi obserwatoriami, skąd zaczynają już napływać dary w postaci wydawnictw. W przygotowaniu są własne publikacje naukowe, w których wydrukowane będą wyniki badań naukowych pracowników placówki Wrocławskiej. Wydawnictwa te będą rozsyłane do innych obserwatoriów i instytucji naukowych zagranicznych w ramach wzajemnej wymiany.

Obecnie pracuje we Wrocławiu zespół 6 lwowskich astronomów: prof. dr Eugeniusz Rybka, jako dyrektor, oraz jego współpracownicy: dr Jan Mergentaler, dr Antoni Opolski i mgr

Stefania Ninger-Kosibowa. Ponadto zatrudnieni są jeszcze trzech młodzi asystenci, jeden urzędnik i dwaj woźni. Całkowity personel składa się więc z 7 osób pracowników naukowych i 3 osób personelu administracyjnego.

Na wykłady, odbywające się w Obserwatorium, uczęszcza obecnie około 25 studentów, studiujących matematykę, fizykę i astronomię. Ponad 20 słuchaczy bierze udział w ćwiczeniach praktycznych. Trzech studentów specjalizuje się w astronomii.

Niestety — Obserwatorium boryka się z ogromnymi trudnościami materialnymi. Dotacje miesięczne na potrzeby naukowe są bardzo skromne. Z dotacji tych musi być w dodatku pokrywana znaczna część wydatków administracyjno-gospodarczych.

Obserwatorium cierpi na brak etatów sił pomocniczych administracyjnych, wskutek czego personel naukowy jest nadmiernie obciążony sprawami nie mającymi nic wspólnego z nauką, co z kolei musi odbić się ujemnie na pracy naukowej.

Nie można jednak dziwić się takiemu stanowi rzeczy. Polska tak potwornie zniszczona w czasie wojny (nb. sam Wrocław przejeśliśmy w 72% zrujnowany) musi w pierwszym rzędzie poczynić ogromny wkład nie tylko pracy, ale i pieniędzy w odbudowę najważniejszych dziedzin życia gospodarczego i zasadniczych trzonów życia kulturalnego. Dopiero w następnych etapach odbudowy będzie można poświęcić więcej kapitału na odbudowę szczytowych form warsztatów naukowych o wybitnej specjalizacji i nie stojących na bezpośrednich usługach życia. Dlatego też dotację, jaką obecnie otrzymuje Obserwatorium, należy poniekąd traktować jako symboliczną pomoc w dowód uznania pełnej poświęcenia, prawdziwie pionierskiej, pracy byłych uczonych lwowskich.

Wierzyć należy, że mimo trudnych warunków pracy zespołu lwowskiego w niedługim czasie Obserwatorium Wrocławskie stanie się chlubą nauki, polskiej i dojdzie do takiego znaczenia w międzynarodowych kołach astronomicznych jak przed wiekiem pod kierownictwem profesora Bogusławskiego.

Roman Aftanazy.

Jak w fantastycznym scenariuszu filmowym...

#### AUTENTYCZNE PRZEŻYCIA PARY POPULARNYCH AKTORÓW POLSKICH.

Było to 8 marca 1941. Po Warszawie gruchnęła wieść o zlikwidowaniu znanego aktora filmowego (jak się okazało szpiega hitlerowskiego) Igo Syma przez organizację podziemną. W kilka godzin później pojawiły się na słupach ulicznych złowieszcze plakaty z listą 100 zakładników zagrożonych rozstrzelaniem, jeśli sprawca zamachu się nie znajdzie, a obok



rozlepiano wielki plakat, zarządzający pościg za domniemanym zabójcą — aktorem Dobiesławem Damięckim i jego żoną, również aktorką, Ireną Górską. Równocześnie ogłoszono wysoka nagrodę za ich głowy.

Jednej z dziennikarek warszawskich udało się obecnie uzyskać wywiad właśnie z uroczą aktorką, Ireną Górską, za którego ujęcie Gestapo wyznaczyło nagrodę. Posłuchajmy zatem, co mówi sama bohaterka tej tak powszechnie znanej ucieczki i tułaczki dwojga młodych aktorów.

— Byliśmy właśnie w zakonspirowanym lokalu Związku Artystów Scen Polskich, gdy dowiedziałam się o zamachu — wspomina p. Irena — i od razu tknęło mnie przecucie, że Gestapo nie zostawi nas w spokoju. Wprawdzie w sprawę Syma mąż mój nie był zamieszany, ale tkwił mocno w robocie podziemnej i tyle rzeczy miał przecież na sumieniu. Koledzy stanowczo radzili wiać natychmiast. Do domu nie było już poco wracać...

Wyszli tedy o zmierzchu, tak jak stali, w długą, koszmarną wędrownkę. Wiadomo, jak trudne musiało być ukrywanie się pary popularnych aktorów w Warszawie, przetrząsanej dom po domu przez szalejących szpiclów.

Tę noc i następną spędzili w pobliskim mieszkaniu przyjaciół. Ale grunt palił się im pod nogami. Trzeciego wieczoru trzeba było szukać innego schronienia. Do 20-go kwietnia, a więc w ciągu 44 dni zmieniali 11 razy warszawskie mieszkania.

Siląc się na spokój przechodzili wielokrotnie obok „ich” plakatów — listów gończych. W parę dni po ucieczce, przechodząc obok własnego mieszkania przy ul. Ludnej, widzieli przez okno gospodarujących tam gestapowców.

Pewnego dnia spadła nagle obława na jeden z domów na Bielanach, gdzie akurat znajdowali się. Pani Irena, zamknięta na klucz przez gospodynię w ciemnym pokoju, przeżyła straszną godzinę, tłumiąc oddech i łomotanie serca, gdy za ścianą dudniły ciężko podkute buty policyjnego patrolu.

Innym razem znowu znaleźli się w gorszych jeszcze opałach. W ich tymczasowym, śródmiejskim, schronieniu znajdowała się tajna drukarenka, skład nielegalnych gazetek, a właścicielką mieszkania była ukrywająca się Żydówka. Przy rewizji, zresztą przypadkowej, sprzyjało im nieprawdopodobne szczęście. W mieszkaniu, przewróconym „do góry nogami”, szpicle niczego nie znaleźli. W pewnej chwili Damięcki, spokojnie rozmawiając z którymś z gestapowców, spostrzegł leżącą na stole nielegalną gazetkę. Od niechcenia zbliżył ją do ognia i... zapalił od niej papierosa.

— Czy baliśmy się? Nie umiałabym dziś powiedzieć — zastanawia się Irena Górską. Żyło się w nieustannym napięciu nerwów, jak w „złej sztuce”, o klimacie tak koszmarnym, że

aż nierzeczywistym. A to, że byliśmy ścigani i publicznie napiętnowani?... Mój Boże, przecież w owych czasach w Warszawie śmierć chodziła nieustannie pod oknami i prawie jednokowe szanse miał każdy Polak, tak zbieg, jak zamachowiec z granatem w rękę, lub spokojny bywalec kawiarni, z której mogła go w każdej chwili wywlec uliczna „łapanka”.

Tak więc, gdy gestapo szalało po całej tak zwanej „Gubernii Generalnej” w poszukiwaniu zbiegów, gdy przetrzāsano pociągi, urządzano obławy na dworcach i zagłądano w twarze podróżnym, tropiciele mieli „zwierzynę” pod ręką — w Warszawie.

— Ale wreszcie grunt zaczął się nam naprawdę palić pod nogami... Trafiano coraz bardziej na nasze tropy. W końcu więc wyjechaliśmy na głuchą wieś. Zwała się Podszkodzie, pod Ostrowcem Świętokrzyskim.

— Zamieszkaliśmy w starym i opustoszałym dworze. Tam po dwóch miesiącach przyszedł na świat nasz pierwszy syn.

Dobiesław Damięcki, mąż pani Ireny, pełen jak zwykle fantazji, humoru i żywiołowej werwy, przy tym z urodzenia społecznik, zachowywał się zresztą dość lekkomyślnie. Oto nie zwracając uwagi na fakt, że jest poszukiwany przez gestapo, rzucił się z miejsca w wir tajnej pracy pedagogicznej. Uczył całą młodzież wiejską, która biegła do niego wprost od pługów, rozmiłowana w niezwykłym „panu profesorze”. Dziś wielu z tych chłopców studiuje na wyższych uczelniach.

— Co prawda, trudno było w tym dzikim brodaczu i obdariusie poznać stołecznego aktora! — uśmiecha się pani Irena. — Ale bądź co bądź nie było to całkiem bezpiecznie tak się „ujawniać”... Ale cóż było robić z tą „szaloną głową”!... Na szczęście, wszystko skończyło się dobrze. W dobrym zdrowiu doczekaliśmy się wyzwolenia.

Dziś Dobiesław Damięcki, powszechnie ceniony aktor, jest prezesem Związku Artystów Scen Polskich i z Ireną Górską występuje z powodzeniem na scenie. Ale równocześnie grają swą „dobrą rolę” w życiu, jako szczęśliwi małżonkowie i rodzice, a w Skolimowie — z braku mieszkania w Warszawie — chowają się ich dwaj mali synkowie, zdrowi, dorodni i weseli — Dudek i Maciek, na których dzieciństwie ciężkie przeżycia matki nie pozostawiły śladów.

J. B.